

ŚWIADEK



ZBRODNI

WZORZEC ZBRODNI

WARREN ELLIS



SETKI BRONI - JEDEN POKÓJ
SETKI MORDERSTW - JEDEN ZABÓJCA
SETKI ELEMENTÓW - JEDEN WZÓR

SON

WYDAWNICTWO
PRO. JAKA KUTY

WZORZEC ZBRODNI



WZORZEC ZBRODNI

WARREN ELLIS

TŁUMACZENIE
AGNIESZKA BRODZIK

KRAKÓW 2014

GUN MACHINE

Copyright © 2013 by Warren Ellis

This edition published by arrangement with Little, Brown, and Company, New York, New York, USA. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2014

Copyright © for the translation by Agnieszka Brodzik 2014

Redakcja i korekta – Sonia Miniewicz, Radosław Pisula,

Joanna Mika-Orzadała

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okladka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Front cover photograph: © Philipp Henzler

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2014

ISBN: 978-83-7924-245-0



www.wydawnictwosqn.pl

Q DYSKUTUJ O KSIĄŻCE



/WydawnictwoSQN



/SQNPublishing



/WydawnictwoSQN



NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej



Wspieramy środowisko! Książka została wydrukowana na papierze wyprodukowanym zgodnie z zasadami zrównoważonej gospodarki leśnej!

*Dla
Ariany i Molly
oraz Lydii i Angeli,
oraz Niki i Lili*

JEDEN



Gdy później odsłuchano zgłoszenia na policję, pani Stegman sprawiała wrażenie bardziej przejętej nagością napastnika niż jego wielkim gnatem.

Telefon pod 911 jest jak sygnał bólu, wędrujący od czubka ogona dinozaura do jego mózgu. Toczący się ciężko apatozaur sieci informacyjnej nowojorskiej policji nawet nie zauważa kręcących się między jego stopami szybkich, stojących wysoko na drabinie ewolucyjnej ssaków w postaci systemu telefonicznego, Wi-Fi oraz komunikacji sektora finansowego, które mkną pod jego nogami na terytorium Pierwszego Dystryktu.

Minęło dobre siedem minut, zanim ktoś zauważył, że detektywi John Tallow oraz James Rosato znajdują się w promieniu niecałych ośmiuset metrów od golasa ze spluwą, i zadzwonił, żeby zajęli się zgłoszeniem.

Tallow otworzył okno po stronie pasażera i wypłuł gumę nikotynową na ulicę.

– Trzeba było tego nie robić – powiedział do Rosato, patrząc bez śladu zainteresowania na jadącego rowerem, odzianego w limonkowy strój z lycry kuriera, który pokazał mu środkowy palec i zwyzywał od kryminalistów. – Pieprzysz o swoich kolanach cały tydzień, a przed chwilą odpowiedziałeś na zgłoszenie z pozbawionego windy apartamentowca na Pearl Street.

Jim Rosato od niedawna był mężem greckiej pielęgniarki. Sam miał w sobie mieszankę krwi irlandzkiej i włoskiej, a koledzy z pracy prowadzili zakłady, które z nich jako pierwsze pojawi się w robocie,

nosząc czapkę zrobioną ze skóry współmałżonka. Greczynka nakłaniała męża, żeby popracował nad swoim zdrowiem, a jej program ratunkowy obejmował bieganie przed i po każdej zmianie. W ciągu ostatniego tygodnia Jim zjawiał się w pracy, ledwo trzymając się na nogach i z gębą buldoga przeżuującego osę, uroczyście wszystkim oświadczając, że jego kolana ostatecznie stopiły się w twardą masę i zostało mu tylko kilka dni życia.

Kiedy Rosato przeklinał, słychać było u niego dubliński akcent jego świętej pamięci matki.

– Kurwa. Skąd ty to w ogóle wiesz?

Tylne siedzenie ich służbowego wozu zawalone było stosami książek, papierów i czasopism, wśród których znajdowało się również kilka czytników elektronicznych oraz popękany szary iPad.

Co jakiś czas jeden z nich musiał nogą robić miejsce dla oskarżonego. Tallow lubił czytać.

Rosato złapał za kierownicę, przejechał na drugą stronę ulicy i zatrzymał się na Pearl Street przed szarą i ponurą czynszówką, zajętą przez dzikich lokatorów – skamieniałą łupiną, pod którą ludzie mogą sobie przycupnąć. Pozostałe budynki po tej stronie ulicy przeszły przynajmniej lifting i miały wszystkie plomby. Dwa takie stały obok i przypominały wygładzone botoksem trzydziestoparolatki obejmujące starszą ciotkę. Niektóre wyglądały na pustostany, ale i tak kręcili się tam młodzi mężczyźni w dobrych garniturach i złych krawatach, z telefonami przyklejonymi do uszu, a także kościste panienki wystukujące wiadomości tipsami.

Na dźwięk wystrzału obrzyna całe to towarzystwo spłoszyło się niczym stado flamingów.

– To był twój pomysł – powiedział cicho Tallow, otwierając drzwi. Już na ulicy odruchowo poprawił swojego glocka, schowanego w kaburze pod marynarką. Rosato pokuśtykał na sztywnych nogach do wejścia.

Tallow zdawał sobie sprawę, że wielu policjantów żeniło się z pielęgniarkami. One znały to życie: mordercze zmiany, przewlekła

nuda, nagle przypląwy adrenaliny, rozchlapana wszędzie krew. Tallow prawie się uśmiechnął, wchodząc za swoim mrużącym oczy partnerem do budynku. Ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, zamknął drzwi i dopiero wtedy wyciągnął broń.

Parkiet w korytarzu trzeszczał pod ich stopami. Miejscami brakowało klepek i widać było przegniłe wypełnienie z gazet. Tallow rozpoznał nagłówki z lat pięćdziesiątych, wystające spod podłogi przy południowej ścianie. Plastikowa tapeta była śliska od starego osadu nikotynowego, powietrze ciepłe i wilgotne, a barierka przy schodach mocno zniszczona.

– Kurwa – powiedział Rosato i ruszył w górę. Tallow chciał przeslizgnąć się na przód, ale partner tylko odgonił go machnięciem ręki. Rosato, zanim został detektywem, pracował na ulicy dłużej niż drugi z mężczyzn i to, jego zdaniem, dawało mu w takich chwilach prawo do obejmowania dowodzenia. Powtarzał, że Tallow za dużo pracuje głową. Wielki Jim Rosato był typem policjanta z ulicy.

Głos golas ze spluwą rozbrzmiewał na klatce schodowej. Najwyraźniej nie spodobał mu się list, który znalazł rano pod drzwiami. Napisano w nim, że obiekt kupiła firma budowlana, dająca mu hojne trzy miesiące na wyprowadzenie się. Golas ze spluwą postanowił odstrzelić każdego próbującego zabrać mu dom dupka, bo to był jego dom i nikt nie może mu kazać zrobić czegoś, czego on nie chciał zrobić, a poza tym miał spluwę i tyle. Nie wspominał nic o braku ubrań. Tallow domyślał się, że gniew golas był zbyt wielki, by wytrzymać jakiegokolwiek ciuchy.

Doszli do drugiego piętra i spojrzeli w górę.

– Sukinsyn jest na trzecim piętrze – syknął Rosato.

– Koleś ledwo się trzyma, Jim. Posłuchaj go. Strasznie się powtarza, a do tego głos mu drży. Może powinniśmy poczekać, aż pojawi się ktoś od świrów.

– Przeczytaj mi jedną z tych twoich książek od historii. Może zaśnie i wylądje na swoim obrzynie.

– Mówię serio.

– Ja, kurwa, też. Nawet nie wiemy czy kogoś trafił.

Rosato szedł dalej, zaciskając palce na trzymanej przy nodze broni.

W milczeniu wchodzili na górę. Golas stawał się coraz lepiej słyszalny. Rosato wszedł na podest przed trzecim piętrem, uniósł pistolet i zrobił krok, a potem wyjaśnił ostrym warknięciem, że jest z policji. Następnie zaliczył kolejny stopień.

Kolano odmówiło mu posłuszeństwa.

Golas ze spluwą stanął na szczycie schodów i strzelił w dół.

Pocisk oderwał lewą stronę czubka głowy Jima Rosato. Kawałek jego mózgu, wielkości pięści, plasnął o ścianę klatki schodowej.

Ze swojego miejsca, trzy stopnie niżej i bardziej na prawo, Tallow widział oko Rosato zwisające dobre dziesięć centymetrów poza głową jego partnera, ale nadal przyczepione do oczodołu płataniną czerwonych glist. W tej sekundzie w głowie Tallowa zagościła pewna abstrakcyjna myśl: w ostatniej chwili swego życia James Rosato patrzył na swego zabójcę pod dwoma różnymi kątami.

Gałka oczna Rosato rozprysła się na ścianie.

W gęstym powietrzu ciągle było słychać echo wystrzału obrzyna.

Dźwięk, z którym zabójca Jima ładował z powrotem broń, zdawał się trwać bez końca.

Tallow trzymał glocka w obu rękach, miał czternaście kul w magazynku i jedną w lufie. Nacisnął spust, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Zabójca Rosato był kiedyś kulturystą, ale przeszedł na dietę złożoną z burgerów, pożeranych całymi całymi dniami na kanapie. Zamachowiec drżał. Tallow widział słabe echa mięśni ginące pod zwałami tłuszczu. Czubek jego głowy był łysy i do tego sprawiał wrażenie zbyt małego, by pomieścić mózg człowieka. Penis spoczywał na workowatych jajach, przywodząc na myśl siną lechtaczkę. Na klatce piersiowej miał kiepski tatuaż z imieniem Regina, rozciągnięty przez owłosione cycki. W tamtej chwili John Tallow nie widział żadnego powodu, by go zwyczajnie nie kropnąć, więc wystrzelił cztery kule w „Reginę”, a potem dołożył jeszcze jedną w tę małą łepetynę.

Ostatni pocisk odrzucił zabójcę Jima Rosato do tyłu. Jego lot podkreślił łuk cienkiej strużki moczu. Golas runął na podłogę, odruchowo spróbował jeszcze raz wciągnąć powietrze, a potem umarł.

John Tallow, nie ruszając się z miejsca, zmusił się do oddechu. Powietrze było gęste i gorzkie od zapachu prochu oraz krwi.

W korytarzu nie było nikogo więcej. W ścianie za plecami trupa zionęła dziura. Może gnojek strzelił w nią, żeby zwrócić na siebie uwagę. Albo był po prostu świrem.

Tallow miał to gdzieś. Zgłosił zdarzenie.

A ludzie wciąż się dziwili, dlaczego w swoją pracę wkładał coraz mniej energii.

DWA



John Tallow stał i patrzył, jak medycy wynoszą partnerującego mu od czterech lat policjanta, a potem zeskrobują i chowają do torebki resztki mózgu. Następnie usiadł na schodach bez słowa, a oni musieli przenieść ciało zabójcy Rosato nad jego głowę, żeby przetransportować je na dół.

Ludzie coś do niego mówili, jednak bliski wystrzał z broni palnej ogłuszył go na jakiś czas, a poza tym i tak nic go nie interesowało. Ktoś mu powiedział, że jego porucznik pojechała do żony Rosato, by przekazać jej złe wieści. Lubiła to robić. Ściągała trochę ciężaru z barków swoich podwładnych. Tallow wiedział, że zdarzyło się jej to trzy lub cztery razy w ciągu ostatnich kilku lat.

Po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Policjant w mundurze. Za jego plecami ludzie z CSU* kręcili się jak żuczki.

– To jedno mieszkanie – powiedział stróż prawa.

– Co?

– Sprawdziliśmy wszystkie mieszkania, aby upewnić się, że nikomu nic się nie stało. Oprócz tego tutaj, z dziurą w ścianie, bo nikt nie odpowiada. Wchodził pan do środka?

– Nie. Czekał, co? Ta dziura jest dość nisko. Nie wydaje mi się, żeby pocisk wogoś trafił.

– Może właściciel jest w pracy. Chyba jako jedyny w tym budynku, jak do tej pory.

* Crime Scene Unit – jednostka nowojorskiej policji zajmująca się zbieraniem dowodów na miejscu zbrodni (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Tallow wzruszył ramionami.

– Wyważcie drzwi.

– Nie da się. Nie mam pojęcia, jaki zamek je trzyma, ale nie możemy go ruszyć.

Tallow wstał. Wiedział, że ten budynek to żaden Fort Knox. Ale jeśli mundurowy stwierdził, że drzwi się nie da wyważyć, nie było sensu dalej próbować. Nie chodziło zresztą o drzwi. Liczyła się dziura. Uklęknął przy niej. Ściany działowe w takich miejscach nie zasługiwały na swoje miano, ponieważ w większości były to tylko płyty gipsowe. Kiedyś, gdy w budynku mieszkało mnóstwo ludzi, musiało być tu głośno jak w ulu.

Otwór miał trzydzieści centymetrów szerokości. Tallow zajął do środka. Było ciemno. Przesunął się, żeby wpuścić trochę rozproszonego światła z korytarza. Mundurowy obserwował go ze zmarszczonym czołem.

– Daj mi swoją latarkę – powiedział Tallow.

Włączył ją i włożył w dziurę. W ciemności coś błyszczało, jakby oświetlał latarką zęby jakiegoś zwierzęcia schowanego w norze.

– Weźcie taran – rzucił Tallow.

Mundurowy zszedł na dół, podczas gdy Tallow usiadł na podłodze plecami do ściany, a gdy CSU zaczęli narzekać, pokazał im środkowy palec. Jeszcze się to na nim zemści, był tego pewien. CSU uwielbiali narzekać, a jeśli on ich nie słuchał, znajdą sobie kogoś innego.

A może akurat dzisiaj zasłużył na spokój.

Mężczyzna usiadł i zaczął rozmyślać o swoim partnerze. Na przykład o tym, że nigdy nie poznał jego żony. Właściwie to jej aktywnie unikał, jeśli miał być szczery. Przypomniawszy sobie uczucie ulgi, kiedy Jim i jego wybranka postanowili pobrać się w czasie wakacji, dzięki czemu nie mógł iść na ceremonię. Tallow zdecydował kiedyś – po tym, jak musiał nieznanej sobie kobiecie przekazać miażdżącą wieść, że jej mąż zmarł na służbie z trzema kulkami w trzewiach – o zachowaniu permanentnego statusu kawalera. Nie

chciał patrzeć na czyjś ślub i myśleć o swoim. Nie miał zamiaru dumać przy stole Jima Rosato o małżeństwie.

Policjant znalazł innego mundurowego i razem, niezbyt szczęśliwi, wnieśli na górę pomalowany na czarno metalowy taran z odłazającą farbą.

Tallow, nie podnosząc się z podłogi, wskazał kciukiem drzwi.

Mężczyźni przystawili do nich taran. Trochę się wygięły, ale nie puściły. Spojrzeli po sobie, wzięli większy zamach i uderzyli znowu. Poszły drzazgi, ale zamki nadal nawet nie drgnęły.

Tallow wstał.

– Uderzcie w ścianę.

– Na pewno?

– Tak. Jakby co, będzie na mnie. No, walcie.

Taran wbił ścianę do środka, a z mieszkania dobiegło kilka głuchych tąpnięć. CSU zaczęli przeklinać własne matki, stojąc we wznieconym uderzeniem pyłu. Trzy zamachy i dziura stała się na tyle duża, że Tallow wszedł do środka. Jeszcze dwa głuche tąpnięcia. Włączył pożyczoną latarkę i powoli przeczesał pomieszczenie.

Pokój był wypełniony bronią.

Wisiąca na wszystkich ścianach. Nawet u stóp Tallowa leżało kilka sztuk sprzętu. Odwracając się z latarką na wysokości ramienia, zobaczył, że uzbrojenie zamontowano też na ścianie, przez którą dostał się do środka. Część wisiąca w rzędach, ale ta na ścianie po prawej formowała skomplikowane zawijasy. Resztę poukładano na podłodze po drugiej stronie pomieszczenia, tworząc trudny do sklasyfikowania kształt. Ta umazana była farbą.

Czuć było zapach, którego Tallow nie potrafił określić. Piżmo. Futro albo skóra.

Wzory w kształcie fal, ułożone z broni, od podłogi po sufit. Wdychając zastale, niosące słabą woń powietrze, Tallow czuł się niemal jak w kościele.

Był sam w mieszkaniu. Oświecił latarką drzwi. Zostały wzmocnione stalowymi prętami i ciężkimi zamkami. Na jednym z urzą-

dzeń widać było mrugającą na czerwono lampkę LED. Mężczyzna nie potrafił zrozumieć, jak ktoś w ogóle mógłby dostać się do środka przez główne wejście. Taran na pewno nie zdałby egzaminu.

Tallow ostrożnie obszedł powoli wszystkie pokoje, niczego w nich nie dotykając.

We wszystkich znajdowała się broń.

W jedynym z okien w pomieszczeniu z tyłu wisiały dwie ciężkie zasłony. Ze szpary między nimi, na wypełniony bronią pokój, sączyło się słabe światło. W środku tańczyły drobiny kurzu. Tallow stał przez chwilę bez tchu. Potem, powoli i w milczeniu, wyszedł z pokoju.

Niemal się uśmiechnął, gdy wystawił głowę przez dziurę i powiedział do CSU:

– Mam coś dla was.

TRZY



Sytuacja w apartamentowcu szybko osiągnęła temperaturę wrzenia. Kiedy mundurowi zaczęli przepychać się z kilkoma detektywami przy wypytywaniu mieszkańców o właściciela pokoju 3A, Tallow wykorzystał okazję i zszedł na dół.

Słońce schowało się już za potężnymi, chromowanymi ramionami dzielnicy finansowej. Mężczyzna spojrzał na blade niebo i przez chwilę rozmyślał o tym, jak szybko minął dzień. Wsiadł do samochodu, który wydawał się pusty, gdy Tallow zasiadł za kierownicą. Dołączył do gęstniejącego sznura pojazdów i ruszył na wschód, w stronę serca Pierwszego Dystryktu.

Piętnaście minut później zaparkował przed ulubioną kawiarnią, tą ze stolikami na chodniku, gdzie nikt nie narzekał na palenie. Kupił w sklepie na rogu paczkę fajek i zapalniczkę, usiadł przy metalowym stoliku z wysokim, papierowym kubkiem toksycznie czarnej kawy, zapalił papierosa trzymanego w jeszcze nietrzęsącej się dłoni, a potem wyłączył tryb autopilota i pozwolił światu znowu zaistnieć.

Robił to etapami. Najpierw pozwolił sobie zauważyć, że coś go lekko uciska pod ramionami. To jedyna marynarka, którą wyciął tak, żeby mieściła kaburę. A to oznaczało, że trochę przytył. Kiedy zamknął na chwilę oczy, czuł w kilku miejscach na głowie delikatne szczypanie. Miał na skórze krople zaschniętej krwi.

Po kolei. Nienaruszony jeszcze rękaw otaczający duży kubek, oznaczony biodegradowalnym atramentem, głoszący dumną niezależność kawiarni – prosty czarny nadruk na poplamionej kartce, która składała własne oświadczenie o autentyczności. Lśniący,

metalowy stolik, odbijający zbyt dużo światła, przez co trudno było przy nim siedzieć w ciągu dnia, a już zwłaszcza z laptopem. Dzięki temu nikt nie blokował tutaj miejsca zbyt długo. Nuta drewna i oleju w dymie papierosowym. Wtłoczony do płuc roztaczał przyjemne ciepło w piersi, a potem wypływał z nosa jak krew. Chemiczny posmak na języku. Odruchowo sięgnął po kawę, słodką i aromatyczną, splukał smak papierosa, żeby nie zakręciło mu się w głowie. Tallow nie palił od dziewięciu miesięcy. Teraz też nie zaczął, nie mentalnie. To tylko lek. Zdecydował, że wyrzuci paczkę i zapalniczkę, gdy odejdzie od stolika.

Kolejne etapy. Muzyka wyciekająca na ulicę przez otwarte drzwi kawiarni. Brooklińskie *glo-fi* sprzed kilku lat, dzieciaki przy Park Slope wyobrażające sobie kalifornijskie plaże. Dwie dziewczyny po drugiej stronie okna, obie z irokezami na głowach i ubrane w bezrękawniki z kapturami, spod których widać było niedokończone tatuaże. Ten niekompletny był lepszy. Dziewczyna miała mniej pieniędzy, ale wybrała lepszego artystę.

Za ich plecami, na ławie przy ladzie, przeraźliwie głośno terkotała drukarka, automatyczna maszyna wypływająca kolejne, niezliczone kartki papieru, nowojorska chwilówka albo emanacja siły społecznej sieci.

Dalej: obok przejechał warczący autobus, prezentujący reklamę dynamiczną z gęstą wysypką czarnych pikseli. Zachęcała do obejrzenia jakiegoś napakowanego efektami specjalnymi filmu z trzema różnymi wersjami Arnolda Schwarzeneggera – dwudziestoletnią oraz dwiema trzydziestoletnimi. A za nim niecierpliwy kierowca w nowiutkim i świeżutkim samochodzie prosto od dilerów, dumnie jednak prezentujący pletwy z lat pięćdziesiątych, w kolorze słodko-jabłkowej czerwieni – bardzo sportowy, prowadzony przez mężczyznę przed pięćdziesiątką, ubranego w koszulkę w paski, przypominającą świąteczny cukierek, z ostrożnie podwiniętymi rękawami, jakby chciał pochwalić się lasem siwych włosów na przedramieniu.

I dalej: Jim Rosato nie żył. Tallow już nigdy nie będzie w stanie pozbyć się miedzianego posmaku, który ciągle kłuł go w język, jakby wchłonął część rozpylonej krwi przyjaciela, kiedy obrzyn odstrzebił mu pół głowy. Tallow wszystko zablokował, ale teraz bariera opadła i mimowolnie obejrzał powtórkę śmierci Jima w wysokiej rozdzielczości.

Zakrztusił się dymem.

– Wiedziałem, że tu będziesz. Mogę usiąść?

Spojrzał natychmiast w górę. Po drugiej stronie stolika stała jego porucznik. W ręku trzymała kawę. Tallow zastanawiał się, jak długo odtwarzał w myślach śmierć Jima i nie zwracał najmniejszej uwagi na otaczający go świat.

– Proszę – powiedział.

Gdy siadała albo wstawiała, robiła to z pewną manierą – poruszała się niczym misterna maszyna do składania. Powolna i precyzyjna kompresja; jej głowa oraz ramiona pozostawały prawie do samego końca praktycznie nieruchome. Czarny kostium układał się perfekcyjnie. Tallowowi mignęły przed oczami nogi w spodniach z rozszerzaną nogawką. Ojciec-porucznik był krawcem, szyjącym jej kostiumy na miarę, po kosztach albo za niewielkie pieniądze. Tallow nauczył się unikać przełożonej kiedy miała na sobie nowe ubrania, bo tradycyjnie przy ich odbiorze ojciec częstował ją sutą wiązanką na temat tego, jaka to teraz z niej „ważniara”.

Porucznik patrzyła na Tallowa swoimi błyszczącymi oczami o ostrym spojrzeniu, które skanowały go z mechaniczną precyzją.

– Rozmawiałam z żoną Jima – powiedziała, zdejmując swoimi przyciętymi paznokciami przykrywkę z kubka kawy.

– Pominąłem coś, gdy ostatnio się widzieliśmy – wyznał Tallow. – Kolano odmówiło mu posłuszeństwa, kiedy przyjmował pozycję. Przez to ciągle bieganie. Nie chciałem, żebyś jej o tym mówiła.

– W swoim raporcie też nie musisz o tym wspominać – stwierdziła, próbując przyjąć miły wyraz twarzy. Porucznik miała wyraziste, ładne rysy. Kiedy się uśmiechała, Tallow wyobrażał sobie, że

spod tej surowej miny i praktycznej fryzury wygląda mała dziewczynka. – Oczywiście nikt nie będzie się czepiał tego strzału. Już rozmawiałam z kim trzeba. Musisz jeszcze odbębnić oficjalne przesłuchanie, ale to w zasadzie wszystko. Nikt nie będzie ci robił problemów.

– Wcale się o to nie martwiłem.

Spojrzała na niego uważnie, szukając czegoś w jego twarzy. Kiedy nie udało jej się tego znaleźć, westchnęła z rozczarowaniem i uniosła kawę do ust.

Tallow po raz ostatni posmakował papierosa. Odwrócił się w stronę ulicy i rzucił niedopałek prosto do kanału ściekowego po drugiej stronie chodnika. Wypił trochę kawy, żeby pozbyć się posmaku fajek. Porucznik znowu mu się przyglądała.

– Nic mi nie wspominałeś o tym mieszkaniu, do którego się przebiliście.

Tallow zassał policzki, próbując przepłukać śliną nasadę języka, żeby przykry posmak dymu zastąpić kofeinową goryczką.

– Niewiele mam do powiedzenia. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Domyślałem się, że będą z tego ciekawe newsy, jak już dziennikarze zwęszą temat.

Tallow zdał sobie sprawę, że przełożona znowu bacznie na niego spogląda.

– O co chodzi, pani porucznik? Robię coś źle?

– Uciekłeś w głąb własnego umysłu. O wiele mocniej niż zwykle. Chcę wiedzieć, jak sobie radzisz z tym, co się dzisiaj wydarzyło, John.

– Nic mi nie jest.

– I to mnie właśnie martwi. Chciałam, żebyście zostali z Jimem partnerami, bo każdy z was był na swój sposób wariatem. Kontrolowaliście się nawzajem. Nie chcę, żebyś teraz się w sobie zamknął i patrzył na wszystko zza wysokiego muru. I tak nie było z tobą dobrze przez ostatni rok.

– Nie rozumiem.

Wstała.

– Oczywiście, że rozumiesz. Osiągnąłeś wiek, w którym praca już cię nie ekscytuje, a jej trudy odcisnęły na tobie swoje piętno i właśnie zaczynasz myśleć, czy nie byłoby lepiej, gdybyś przestał się tym wszystkim przejmować i nie robił nic ponad absolutne minimum. Wysłałam cię na czterdzieści osiem godzin przymusowego urlopu. Wróć jako detektyw, który mi się na coś przyda.

Zawahała się, a potem znowu spróbowała przyjąć pogodną minę.

– Przykro mi z powodu Jima. – Uśmiech nie wypalił. Odeszła.

Tallow poczekał jeszcze pięć minut, obracając w palcach kolejnego papierosa. Włożył go wreszcie z powrotem do paczki, a tę razem z zapalniczką do kieszeni. Znalazł łazienkę i wyrzygał kawę oraz dwa ostatnie posiłki do sedesu.

Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarń
i na www.labotiga.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

